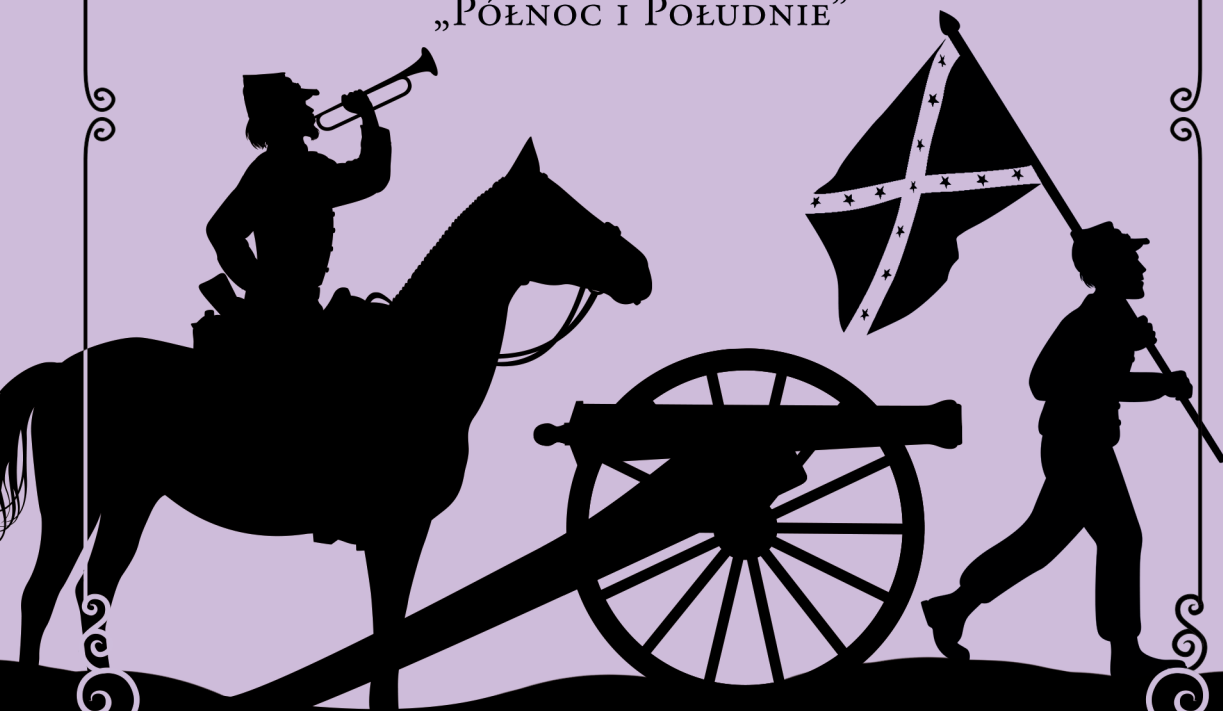




JOHN JAKES

MIŁOŚĆ I WOJNA

DALSZE LOSY BOHATERÓW
„PÓŁNOC I POŁUDNIE”



ALBATROS

Tytuł oryginału:
LOVE AND WAR

Copyright © 1984 by John Jakes
All rights reserved
Published by arrangement with the author, c/o REMCUR, LLC, P.O. Box 908,
Croton Falls, New York 10519, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023
Polish translation copyright © Mieczysław Dutkiewicz (Prolog, Księgi I i II);
Feliks Netz (Księgi III–VI, Posłowie)

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek
Ilustracje na okładce: Frame Art/Schutterstock. com (*ornamenty*);
Alexander Smulskiy/Schutterstock. com (*postać na koniu*);
Teguh Jati Prasetyo/Schutterstock. com (*armata*);
HutagalungArt/Schutterstock. com (*postać z flagą*)

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Zaczęło się palić godzinę przed północą ostatniego dnia kwietnia. Dochodzące z oddali dźwięki dzwonów sygnalizujących pożar zbudziły George'a Hazarda. Potykając się, przeszedł przez ciemny korytarz, wspiał się po schodach na wieżyczkę i już po chwili znalazł się na wąskim balkonie. Ciepły porywisty wiatr rozwiewał płomienie, potęgując ich blask. Z tego miejsca, górującego nad całym Lehigh Station, George był w stanie rozpoznać płonący dom – jedyny porządnym, który uchował się do tej pory w obskurnej dzielnicy nad kanałem.

Zbiegł na dół, do pogrążonej w półmroku sypialni, i niemal na oślep pochwycił ubranie. Starał się je włożyć bezszelestnie, ale i tak obudził żonę. Constance zasnęła niedawno, czytając Pismo Święte – nie swoją katolicką wersję Douaya, lecz jedną z Biblii Hazardów; tuż zanim zamknęła księgę i pocałowała męża na dobranoc, włożyła do niej różaniec. Od upadku Fortu Sumter i wybuchu wojny spędzała nad Biblią więcej czasu niż dotychczas.

– George, dokąd się wybierasz?

– W mieście jest pożar. Nie słyszałaś dzwonów?

Zaspana, przecierała oczy.

– Przecież nie zawsze chwytasz za pompy strażackie, kiedy się pali.

– To dom Fentona, jednego z moich najlepszych nadzorców. Niedawno miał jakieś kłopoty. Może pożar nie wybuchł przypadkowo. – George nachylił się i pocałował żonę w ciepły policzek. – Śpij. Wróć za godzinę.

Wyłączył lampę gazową, zbiegł śpiesznie po schodach i podążył do stajni. Sam osiodłał konia – gdyby chciał budzić parobka, straciłby mnóstwo czasu, a troska nie pozwalała mu marnować nawet jednej chwili. Ta spontaniczna reakcja go zdumiała. Odkąd dwa tygodnie temu odwiedził go Orry Main, George znajdował się w stanie dziwnego otępienia. Czuł się odizolowany od otaczającego go świata, a zwłaszcza od życia narodu, którego jedna część opowiedziała się za secesją i zaatakowała

pozostałych. Unia została rozbita, przeprowadzano inspekcję oddziałów wojskowych. A George, jakby to wszystko nie miało wpływu na jego życie czy uczucia, wycofał się w domowe zacisze.

Teraz dosiadł konia i z tylnego dziedzińca rezydencji, którą nazwał niegdyś Belwederem, pognął galopem w stronę pożaru wąską dróżką wijącą się po zboczach wzgórza. Silne porywy wiatru przypominały strumienie powietrza z pieców jego stalowni; w domu Fentona musiało rozpętać się piekło. Czy na miejscu zdarzenia był już ochotniczy oddział straży pożarnej? George modlił się o to.

Kręta i wyboista droga zmuszała go do ostrożnej jazdy. Minął kilka zabudowań stalowni, mimo późnej pory pełnych dymu, światła i hałasu. Praca trwała tu nieprzerwanie – produkowano szyny i blachę na potrzeby zbrojącej się Unii. Firma miała wkrótce podpisać rządowy kontrakt na dostawę armat. Ale jej właściciel, który pędził na koniu wzdłuż rzędu dostatnich domostw, kierując się w stronę dzielnicy handlowej, skąd dochodził żar i blask pożaru, nie myślał o interesach.

O kłopotach Fentona dowiedział się jakiś czas temu. Zazwyczaj znał wszystkie problemy swoich robotników. Zależało mu na tym. Dyscyplina była niekiedy potrzebna, on jednak przedkładał nad nią dyskusję, zrozumienie i dobrą radę – czy ktoś o nią prosił, czy nie.

W ubiegłym roku Fenton przyjął pod swój dach krewnego – młodszego o dwadzieścia lat muskularnego, energicznego bezdomnego chłopaka, który chwilowo nie miał z czego żyć i rozglądał się za pracą. Nadzorca załatwił mu zajęcie w Stalowni Hazarda, gdzie nowicjusz przez pierwsze miesiące spisywał się całkiem nieźle.

Fenton był żonaty, nie miał jednak dzieci. Jego atrakcyjna, ale niezbyt inteligentna żona pasowała wiekiem bardziej do mieszkającego u nich młodzieńca niż do męża. Niebawem George zauważył, że nadzorca chudnie; słyszał też o nietypowym dla niego zaniedbywaniu pracy. W końcu dowiedział się o popełnionym przez Fentona błędzie, który sporo kosztował stalownię, a w następnym tygodniu – o kolejnym.

Przed kilkoma dniami – by zapobiec następnym błędom nadzorczy, ale również żeby w miarę możliwości mu pomóc – przeprowadził z nim rozmowę. Fenton, zazwyczaj zachowujący się swobodnie przy chlebodawcy, tym razem był spięty; w jego oczach czaiło się coś zimnego i zarazem bolesnego. Zdobył się tylko na jedno wyznanie: że ma kłopoty rodzinne. Ostatnie dwa słowa powtórzył z naciskiem kilkakrotnie: „kłopoty rodzinne”. George wyraził współczucie, zaznaczył jednak, że błędy w stalowni nie mogą się powtórzyć. Fenton obiecał, że o to zadba i rozwiąże swoje problemy osobiste. Kiedy George zapytał, w jaki sposób zamierza to zrobić, nadzorca wyjaśnił, że przede wszystkim wyrzuci z domu krewnego. Zakłopotany George zadowolił się obietnicą, bo domyślił się, o co chodzi w tych „kłopotach rodzinnych”.

Dojrzał sylwetki gapiów i ludzi uwijających się wokół płomieni oraz strumienie

wody wylewanej daremnie na nieistniejący już właściwie dom. Na metalowych częściach przestarzałej pompy gaśniczej i czarnych okryciach czterech koni, które przyciągnęły wozy z pompami i gumowymi węzami, odbijały się czerwone błyski. Zwierzęta grzebały kopytami i parślały jak niesamowite bestie z piekła rodem. Zresztą cała sceneria przywodziła na myśl piekło.

George zeskoczył z konia. Usłyszał krzyk mężczyzny dobiegający z ciemnej uliczki po lewej stronie płonącego domu i szybko przecisnął się przez tłum.

– Nie podchodzić tu, do diabła! – krzyknął przez tubę dowódca ochotników. Kiedy jednak George zbliżył się, mężczyzna opuścił dłoń i powiedział przeproszającym tonem: – Och, pan Hazard. Nie poznałem pana.

Rzeczywiście nie rozpoznał najbogatszego człowieka w mieście, a może nawet w całej dolinie, dopóki nie zobaczył go wyraźniej – kto nie znał przysadzistej sylwetki George’a Hazarda, kończącego w tym roku trzydzieści sześć lat? Jego rozwiane włosy były miejscami spłowiałe od słońca, jaśniały zwłaszcza wiosną i latem; tu i ówdzie pojawiły się siwe pasma. W oczach o barwie lodu, charakterystycznej dla Hazardów, odbijał się blask szalejących dokoła płomieni. Można było w nich dostrzec zatroskanie przepełniające George’a.

– Co tu się właściwie stało? – zapytał.

Dowódca wyjął pobiczne sprawozdanie. Tymczasem strażacy, którzy przed laty nazwali swój oddział ochotników Zastępem Nieugiętych i wryli na całym sprzęcie motto *Officium pro periculo*, kontynuowali pracę przy pompach. Dla spalonego domu ich wysiłki były już bez znaczenia; teraz chodziło wyłącznie o to, by uchronić przed przenoszonymi przez wiatr iskrami pobliskie szopy i chałupy. Tak więc dowódca strażaków mógł sobie pozwolić na chwilę rozmowy z najważniejszym człowiekiem w mieście.

Według niego wszystko wskazywało na to, że Fenton przyszedł wieczorem do domu i zastał żonę w łóżku ze swoim krewnym. Chwycił olbrzymi nóż kuchenny i ugodził nim kochanków, po czym podpalił dom. Śmiertelnie ranny krewny zdołał dosięgnąć napastnika tasakiem i dźgnął go czterokrotnie. George przetarł pięściami nabiegłe łzami oczy. Fenton był jednym z jego najlepszych pracowników – oczytanym, gorliwym, inteligentnym, odnoszącym się przyjaźnie do podwładnych.

– To właśnie on tak krzyczy – wyjaśnił dowódca. – Ale nie pożyje już chyba długo. Tamtych dwoje zastaliśmy martwych. Wytaszczyliśmy ich z domu i przykryliśmy. Leżą tam, jeśli chce pan rzucić okiem.

George zmusił się, by podejść do dwóch ciał spoczywających na samym środku ulicy pod kawałkiem płachty. Zanim jeszcze stanął nad zwłokami, owionął go nieprzyjemny zapach. Krzyk mężczyzny rozbrzmiewał w dalszym ciągu, a podsycający ogień wiatr zamieniał jego głos w zawodzący lament, rozsypywał dokoła iskry i płonące szczątki. Ustawieni w dwuseregach ochotnicy pompowali z furii: jedni

stali na ziemi, drudzy na szerokiej platformie. Nitowane węże, podłączone do dwóch przypominających trumny pojemników, biegły wzdłuż nieczynnego już starego kanału do rzeki, skąd czerpano wodę. Okryte czarnymi płachtami konie, mimo że zostały wytresowane, nadal zdradzały niepokój: grzebały kopytami, podrzucały łby i dyszały ciężko. Od ich boków odbijały się czerwone płomienie.

George zatrzymał się i uniósł nieco brezent. Niedawno zbierał informacje na temat kosztów zakupu dla miasta nowoczesnej pompy parowej projektu Alexandra Bonnera Latty, wiedział więc to i owo o pożarach i ich skutkach. Mimo to widok zabitych kochanków okazał się dla niego nie lada wstrząsem.

Ciało kobiety było bardziej spalone; jej szerniała skóra popękała i zwinęła się w kilku miejscach. Zwęglone ubranie mężczyzny odstaniało setki bąbli, z których sączyła się żółtawa połyskliwa ciecz. Twarze, szyje i wysunięte na zewnątrz języki ofiar nabrzmiały w ostatnich chwilach agonii, kiedy zamiast tak bardzo pożądanego świeżego powietrza płuca nabrały jedynie gryzącego dymu. Gdy patrzyło się na kobietę, trudno było orzec, czy zabiły ją płomienie, czy może się udusiła. W przypadku mężczyzny sprawa nie budziła większych wątpliwości: leżał z wybałuszonymi oczami, wielkimi jak dojrzałe jabłka.

George czym prędzej zakrył zwłoki, z trudem opanowując mdłości. Ten widok wywołał w nim nieoczekiwane skojarzenia. Nie tylko ogień. Również śmierć. Cierpienie. Straty. I – przytłaczająca wszystko inne – wojna.

Wzdrygnął się i podszedł do dowódcy strażaków. Poczuł, że gdzieś w głębi jego duszy rodzą się zaskakujące uczucia.

– Czy mógłbym w czymś pomóc, Tom?

– Doceniam pańską dobrą wolę, panie Hazard, ale jest już za późno, by cokolwiek zrobić. Musimy tylko polać wszystko dokoła wodą.

Jakiś strażak podbiegł, by poinformować, że Fenton zmarł. George wzdrygnął się ponownie. Wciąż słyszał ten straszliwy krzyk. Pokręcił głową.

– Już kiedy tu przybyliśmy, było za późno – powiedział dowódca strażaków.

George skinął ze smutkiem głową i ruszył w stronę swojego konia.

* * *

Tragedia i okropności, których George był świadkiem, sprawiły, że kiedy odjeżdżał z miejsca pożaru, zniknął stan odrętwienia obezwładniający go od pewnego czasu.

Wiedział, że od wielu tygodni, a może nawet miesięcy trwa wojna domowa. Ale to nie oznaczało, że rozumiał tę sytuację. Wiedział, ale tego nie pojmował, choć kiedyś sam walczył w Meksyku. Tyle że kampania w Meksyku należała już do odległej przeszłości. Wjeżdżając powoli na wzgórze, owiewany tumanami popiołu, zmierzył się z rzeczywistością. Jego naród znajdował się w stanie wojny. Młodszy brat George'a, Billy, oficer w Korpusie Inżynieryjnym, był na wojnie.

Najserdeczniejszy przyjaciel, kolega z West Point, towarzysz broni z Meksyku, a nawet partner w interesach, brał udział w wojnie. George nie potrafił sobie teraz przypomnieć nazwiska autora sentencji, której słowa miał w pamięci: *Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą...*

Powracając myślami do dwóch ostatnich tygodni, usiłował odnaleźć w niepokoju, który ogarnął kraj, wyjaśnienie własnego nastroju. Dla wielu obywateli Północy, może nawet dla większości, zbombardowanie Fortu Sumter dwunastego kwietnia 1861 roku rozładowało napięcie utrzymujące się od trzech dziesięcioleci. Było wydarzeniem pożądanym, jeśli nie wręcz radosnym. George nie podzielał tych uczuć, ogarniał go smutek, bo wojna oznaczała, że ludzie dobrej woli nie zdołali rozwiązać bolesnego ludzkiego problemu, który powstał, gdy tylko biali handlarze zaczęli sprzedawać czarne kobiety i czarnych mężczyzn na wybrzeżu rodzącego się amerykańskiego państwa.

Czuł smutek, ponieważ ten problem od tak dawna wydawał się nie do rozwiązania, a teraz okazało się, że nie może nawet zostać przeanalizowany, ponieważ ludzie po obu stronach nie są skłonni do podjęcia rozmów. Inni, wiecznie zajęci sobą i troszczący się tylko o siebie, nie uważali tej sytuacji za niebezpieczną czy nawet poważną; uznawali raczej, że jest to przeszkoda, którą należy obejść. Zignorować, jak ignoruje się żebraka śpiącego w rynsztoku.

W czasach, kiedy kocioł wojny dopiero zaczynał wrzeć, Ameryka nie składała się wyłącznie z dwóch grup – fanatyków i tych zobojętniałych. Istniały również osoby mające dobre intencje. George uważał się właśnie za takiego człowieka. Czyżby on i jemu podobni mieli przewrócić ten kocioł, zalać wodą palenisko i zwołać naradę wszystkich rozsądnych obywateli? A może różnice poglądów były tak głębokie, tak istotne, że zapaleńcy po obu stronach nigdy by na to nie zezwolili? W każdym razie ludzie dobrej woli nie odnieśli sukcesu – pozwolili, by ci pozostali dopięli swego. W rezultacie podzielony naród znalazł się w stanie wojny.

Smutek. Kiedy Orry Main odwiedził Lehigh Station, podzielał uczucia George’a. Było to dokładnie dwa tygodnie temu. Jego podróż z Karoliny Południowej do Pensylwanii okazała się nadzwyczaj ryzykowna, a sama wizyta stała się niebezpieczna, gdy siostra George’a, Virgilia, zagorzała abolicjonistka, obsesyjnie nienawidząca wszystkich i wszystkiego z Południa, zdradziła miejscowym wichrzycielom, że Orry przebywa w domu Hazardów. George musiał posłużyć się bronią, by powstrzymać wzburzony tłum i pomóc najlepszemu przyjacielowi wydostać się z miasta.

A potem? Czy popadł w apatię? Nie, niezupełnie. Stał oko w oko z problemami dnia codziennego: propozycjami podpisania kolejnych kontraktów, niepokojem z powodu kłopotów rodzinnych Fentona, setkami innych spraw, mniejszych i większych. Istniało tylko jedno, czym nie zaprzętał sobie głowy – aż do dziś uchylał się przed zrozumieniem sensu słowa „wojna”. Jakby krył się za wysokim murem.

Pożar i ostrze noża zburzyły ten mur i przypomniały mu podstawowe prawa wojny. Do diabła z durniami, którzy beztrosko przepowiadali „jedynie” trzymiesięczny konflikt zbrojny. Żeby przynieść śmierć i zgłiszcza, wystarczy chwila.

Czuł dudnienie w głowie, ucisk w brzuchu. Za murem, który wreszcie runął, dostrzegął niebezpieczeństwo. To przed nim starał się ukrywać przez ostatnie dwa tygodnie. Bo to niebezpieczeństwo zagrażało ludziom, którzy znaczyli dla niego tak wiele. Zagrażało wytrwale zacieśnianym więzom pomiędzy jego rodziną i Mainami z Karoliny Południowej. Od jakiegoś czasu przymykał oczy na prawdę. Pożar pokazał mu, jakie wszystko jest kruche. Kruche jak życie Fentona czy tamtych dwojga, jak dom, który dawał schronienie im i ich namiętnościom, grzechom i marzeniom. Z nich wszystkich, z tego domu, z ich uczuć nie pozostało już nic. Jedynie popiół, niesiony przez wiatr, osiadający na kołnierzu i uszach George’a.

Pierwszego maja tuż po północy, wjeżdżając na jedno ze wzgórz w Pensylwanii, mógł odwrócić się plecami do zgłiszcz oznaczających mało istotną tragedię rodzinną, jedną z wielu na tym świecie, a jednak tak straszliwą i makabryczną. Mógł odwrócić się do nich plecami, nie potrafił ich jednak zapomnieć. Powrócił myślami do przeszłości. Cofnął się pamięcią o dwa dziesięciolecia.

* * *

Hazardowie, rodzina hutników z Pensylwanii, i Mainowie, plantatorzy ryżu z Karoliny Południowej, nawiązali pierwsze kontakty, kiedy pewnego letniego popołudnia 1842 roku synowie z obu rodzin spotkali się przypadkowo na nabrzeżu nowojorskiego portu. Tego właśnie dnia George Hazard i Orry Main, płynąc rzeką Hudson na pokładzie zdążającego na północ parowca, zawarli znajomość. Po zejściu na ląd udali się do West Point i zostali kadetami.

Przeżyte tam wspólnie chwile umocniły ich wzajemną sympatię. Łączyła ich między innymi wspólna nauka – łatwa dla George’a, który nic sobie nie robił z kariery w wojsku, i uciążliwa dla Orry’ego, choć ten marzył o tym, by zostać żołnierzem. Wspólnie zniesli szykany podstępny – w oczach wielu szalonego – kadeta ze starszego rocznika, Elkanaha Benta, a nawet, po całej serii jego szczególnie nikczemnych uczynków, uknuli spisek, który miał doprowadzić do usunięcia go z uczelni. Niestety, dzięki wpływom w Waszyngtonie Bent niebawem powrócił do West Point. Po uzyskaniu dyplomu ukończenia Akademii Wojskowej obiecał George’owi i Orry’emu, że pozostaną na zawsze w jego pamięci i kiedyś zapłacą za to, co mu zrobili.

Mainowie i Hazardowie zacieśniali wzajemne kontakty, co w tamtych latach nie było niczym szczególnym dla mieszkańców Południa i Północy, podczas gdy secesja wydawała się nieunikniona. Jakby nigdy nic ludzie składali sobie wizyty, rodziły się przyjaźnie. Narastała też jednak nienawiść. George’a i Orry’ego poróżniła poważna

sprzeczka. George właśnie przebywał z wizytą u Mainów w Mont Royal, kiedy z plantacji zbiegł niewolnik. Wkrótce został pojmany i okrutnie ukarany na rozkaz ojca Orry'ego. Gwałtowna dyskusja, która rozgorzała potem między młodzieńcami, okazała się największą próbą ich przyjaźni, zagrożonej przez rozłam od pewnego czasu krążący w krwiobiegu całego kraju niczym groźna trucizna.

Gdy rozpoczęła się wojna w Meksyku, dwaj przyjaciele byli porucznikami w tym samym pułku piechoty, zostali jednak rozdzieleni. Przez knowania kapitana Benta, nazywanego Rzeźnikiem, zostali wysłani na akcję pod Churubusco, gdzie odłamek pocisku rozerwał lewe ramię Orry'ego i zakończył tym samym jego marzenia o karierze wojskowej. Wkrótce George, do którego dotarła wieść o śmierci ojca, powrócił do domu. Jego matka, wiedzioną instynktem, wzdragała się przed powierzeniem starszemu synowi, Stanleyowi, zarządzania przedsiębiorstwem rodziny. Głową rodu Hazardów został więc George i niebawem pozbawił żadnego władzy i nieodpowiedzialnego brata kontroli nad stalownią.

Amputacja lewej ręki była przyczyną długotrwałego przygnębienia i osamotnienia Orry'ego. Kiedy jednak nauczył się kierować plantacją i wykonywać wszelkie czynności jedną ręką, zaczął patrzeć na świat bardziej optymistycznie, odnowił też przyjaźń z George'em. Był jego drużbą, kiedy ten żenił się z Constance Flynn, poznaną w Teksasie w drodze do Meksyku dziewczyną, która pochodziła z katolickiej rodziny. Potem młodszy brat George'a, Billy, postanowił wstąpić do Akademii Wojskowej West Point. Tymczasem Orry, usiłując wszelkimi sposobami uchronić osieroconego kuzyna Charlesa przed życiem hulaki i próżniaka, namówił go, by zaczął się ubiegać o przyjęcie do tej uczelni. I tak wkrótce Charlesa Maina i Billy'ego Hazarda, którzy znali się już od dawna, związała przyjaźń bliźniaczo podobna do więzi łączącej obu starszych absolwentów West Point.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia pokoju wielu obywateli Północy i Południa przyjaźniło się mimo zaostrzających się różnic w postawach i mimo coraz gwałtowniejszych gróźb ze strony przywódców politycznych i działaczy z obu stron. I tak było z Mainami i Hazardami. Ci pierwsi jeździli na Północ, drudzy podróżowali na Południe, choć nie obywało się przy tym bez problemów.

Siostra George'a, Virgilia, która obnosiła się z fanatycznym wręcz abolicjonizmem, omal nie zniszczyła przyjaźni obu rodzin. Podczas wizyty Hazardów na plantacji w Mont Royal pomogła zbiec jednemu z niewolników.

Pozbawiona wszelkich zasad piękna siostra Orry'ego, Ashton, upodobała sobie Billy'ego, ten jednak dostrzegł zalety charakteru jej młodszej siostry, Brett. Ashton, uparta i w pewnym sensie równie szalona jak Virgilia, czekała na moment, by wziąć na nim odwet, i jej intrygi doprowadziły do sprowokowanego pojedynku, w którym Billy, kilka godzin po ślubie z Brett, miał zostać zamordowany. Kuzyn Charles rozprawił się ze spiskiem w typowy dla oficera kawalerii sposób, dosyć

gwałtowny, a Orry na zawsze wygnał z ziemi Mainów zarówno Ashton, jak i jej męża – fanatycznego orędownika sprawy Południa, Jamesa Huntoona.

Czarny kochanek Virgilia, niewolnik, któremu pomogła uciec z plantacji, został zastrzelony wraz z pozostałymi członkami grupy Johna Browna w Harpers Ferry. Virgilia, która była tego świadkiem, w panice uciekła do domu. I była tam tego wieczoru, kiedy Orry, ryzykując życie, złożył Hazardom wizytę. Właśnie o tej wizycie, a także o okolicznościach, które do niej doprowadziły, rozmyślał George, kiedy przygnębiony pokonywał ostatnie metry stromej drogi do domu.

Starszy brat Orry'ego, obrazoburczy Cooper, potępiał poglądy większości południowców na temat niewolnictwa. Jako przykład innej gospodarki – nieopartej na własności ziemi ani na posiadaniu niewolników – podawał Północ, gdzie według niego nie było wprawdzie idealnie, ale to tam właśnie stawiano ważny krok w kierunku nowoczesnej epoki przemysłowej. Na Północy wolni robotnicy pędzili w rytm huczących maszyn na spotkanie pełnej sukcesów przyszłości, nieobciążeni balastem anachronicznych metod i ideologii, równie ciężkich i krępujących ruchy jak kajdany na rękach czy nogach. Słuchając wyświechtanych argumentów Południa – że niewolnicy czują się bezpieczniejsi, a tym samym szczęśliwsi niż przykuci niewidzialnymi łańcuchami do hałaśliwych olbrzymich maszyn robotnicy w fabrykach na Północy – parskał wzgardliwym śmiechem. Owszem, może robotnicy otrzymywali tam głodowe płace, nie kupowano ich jednak i nie sprzedawano jak rzeczy. W każdej chwili mogli odejść, dokąd chcieli, nie troszcząc się o pościgi; żaden robotnik nie mógł zostać pochwycony, wychłostany lub powieszony na kole zamachowym olbrzymiej maszyny, przy której pracował.

Cooper zamierzał stworzyć w Charlestonie przemysł stoczniowy. Wymarzył sobie i nawet zaczął budować wielki żelazny okręt, wzorowany na projekcie genialnego angielskiego inżyniera, Brunela. George zainwestował sporą sumę w to ryzykowne przedsięwzięcie, raczej ze względu na przyjaźń z Cooperem i wiarę w jego entuzjazm niż możliwość osiągnięcia szybkiego zysku, na co nie liczył.

W ostatnich dniach istnienia Fortu Sumter – bastionu Unii – kiedy nikt już nie wątpił, że wojna wybuchnie, Orry zebrał tyle gotówki, ile zdołał, zastawiając rodzinną posiadłość – sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, choć George zainwestował w przedsięwzięcie Coopera milion dziewięćset tysięcy. Nie zważając na swój południowy akcent, Orry zdecydował się przewieźć pociągiem pieniądze w niedużej torbie do Lehigh Station. Ryzyko było ogromne, dotarł jednak do celu. Przez wzgląd na przyjaźń i w imię honoru.

Tego samego wieczoru, kiedy przyjaciele się spotkali, Virgilia zebrała tłum awanturników, którzy mieli zlinczować przybysza. Jej plan się nie powiódł, Orry cały i zdrowy wszedł do pociągu, a teraz był... Właśnie, gdzie? W Karolinie Południowej? Jeśli dotarł bezpiecznie do domu, miał przynajmniej szansę na przeżycie chwili

szczęścia. Madeline LaMotte – kobieta, którą kochał, i to z wzajemnością, choć tkwiła w niewoli nieudanego małżeństwa – przyjechała do Mont Royal, by ostrzec Mainów o spisku na życie Billy’ego Hazarda. Została w domu Orry’ego wbrew woli męża, który dręczył ją od lat.

Upadek Fortu Sumter zmuszał do podjęcia decyzji. Charles, po złożeniu rezygnacji z dalszej służby w szeregach Armii Stanów Zjednoczonych, wstąpił do oddziału kawalerii w Karolinie Południowej. Jego najlepszy przyjaciel, Billy, pozostał w oddziałach saperów Unii, a jego urodzona na Południu żona, Brett, zamieszkała w Lehigh Station. Świat otaczający Mainów i Hazardów utrzymywał jeszcze chwiejną równowagę, ale gromadziły się potężne, groźne, nieobliczalne siły.

Właśnie dlatego George już od dwóch tygodni stronił od wszystkich i wszystkiego. Życie okazało się czymś kruchym. Tak jak przyjaźń. Przed rozstaniem on i Orry zaklinali się, że wojna nie zniszczy łączących ich więzi. Teraz, przypominając sobie okropności tej nocy, krzyki bólu i gejzery ognia, George zastanawiał się, czy nie byli naiwni. Wydawało mu się – czuł to całym sercem – że musi coś zrobić, by udowodnić sobie, że chce chronić ich przyjaźń.

Wprowadził konia do stajni i poszedł do biblioteki, obszernego pomieszczenia przesyczonego zapachem skóry i papieru. Podobnie jak w całym domu, panowała tu cisza.

Kiedy stanął przy biurku, kątem oka dostrzegł na pustym jak zwykle blacie pewną pamiątkę. Był to nieco chropowaty stożkowaty przedmiot, mierzący od podstawy do wierzchołka piętnaście centymetrów. Jego ciemnobrunatna barwa wskazywała na dużą zawartość żelaza.

Uświadomił sobie, dlaczego zwrócił na niego uwagę. Ktoś, zapewne służąca, przesunął kawałek meteorytu ze stałego miejsca trochę dalej. George podniósł go i ściskając w dłoni, przypomniał sobie wzgórze okalające West Point, gdzie znalazł go podczas studiów.

To, co trzymał w ręce, stanowiło zaledwie odłamek dużego meteoroidu, który odbył długą podróż przez rozgwieżdżone mroki, przebył odległości trudne do objęcia ludzkim umysłem. Gwiezdne żelazo – tak nazywali meteoryty przodkowie George’a, starzy hutnicy. Żelazo znano już w czasach, kiedy olbrzymim państwem nad Nilem rządzą faraonowie.

Żelazo. Najpotężniejszy materiał we wszechświecie. Surowiec, dzięki któremu rozwijała się cywilizacja, ale który mógł też przynieść jej zagładę. Wytwarzano z niego śmiertelnoścą broń. George zamierzał produkować ją z wielu rozsądnych powodów: patriotyzmu, nienawiści do niewolnictwa, chęci zysku, odpowiedzialności wobec tych, którzy dla niego pracowali.

To, co trzymał w ręce, w pewnym sensie oznaczało wojnę. Śpiesznie, ale ostrożnie odłożył meteoryt na miejsce. Zapalił lampę gazową nad biurkiem i wysunął szufladę,

do której kiedyś włożył na pamiątkę małą płaską torbę. Przez chwilę spoglądał na nią, po czym pod wpływem nagłego impulsu zanurzył pióro w atramencie i zaczął pisać szybko, jakby ktoś go gonił.

Drogi Orry,

zwracając tę torbę, wykazałeś się niezwyklej uczciwością i odwagą. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mógł się odwzajemnić tym samym. Na wypadek gdybym jednak tego nie zrobił – gdybym nie mógł tego zrobić – piszę te słowa, bo chciałbym, żebyś poznał moje intencje. Abyś przede wszystkim wiedział, że z całego serca pragnę utrzymać łączące nas i nasze rodziny więzi, które rozwijały się i umacniały przez wiele lat. Pragnę tego i to było zawsze moim celem, wbrew Virgili, wbrew Ashton, wbrew lekcjom na temat istoty wojny, które odebrałem w Meksyku, ale przypominałem sobie o nich dopiero dziś w nocy. Jestem pewien, że wierzysz w wartość tych więzi tak mocno jak ja. Są jednak kruche niczym źdźbło żyta cięte kosą. Jeśli nie uchronimy tego, co tak bardzo zasługuje na przetrwanie, lub jeśli – uchronij, Boże! – miałby zginąć któryś z Hazardów czy Mainów – co może się zdarzyć, o ile ten konflikt potrwa dłużej – wiem przynajmniej, że do ostatniej chwili bardzo ceniłem naszą przyjaźń. Ceniłem ją i nigdy nie zmieniłem stanowiska w tej kwestii. Ty zresztą też, wiem o tym. Modlę się, żebyśmy mogli się spotkać, kiedy ten koszmar dobiegnie końca, ale gdyby tak się nie stało, ślę Ci z całego serca przyjacielskie pożegnanie.

Twój przyjaciel...

Chciał już napisać pierwszą literę swojego imienia, lecz nagle uśmiechnął się ze smutkiem i wykaligrafował swój przydomek z czasów studiów – *Pniak*.

Powoli złożył kartkę, włożył do torby i ją zamknął. Zasunął szufladę i wstał przy akompaniamencie dosyć nieprzyjemnego skrzypienia kości. Była ciepła noc, więc okna w Belwederze pozostały otwarte i wiatr przyniósł słabnącą woń spalenizny. Kiedy zgasił lampę i ciężkim krokiem zaczął wchodzić po schodach, zrobiło mu się zimno i poczuł się stary.

Rozdział 1

Poranne słońce oblewało blaskiem pastwisko. Nagle w oddali na szczycie niewysokiego pagórka pojawiły się trzy czarne konie i pomknęły w falujące na wietrze morze traw. Za nimi gnały dwa inne, o równie wspaniałej maści, rozwianych grzywach i ogonach, a potem kolejne dwa, na których siedzieli sierżanci w ozdobionych galonami kurtkach huzarskich. Pędzili galopem, z szerokimi uśmiechami na twarzach, krzycząc coś i wymachując czapkami.

Widok ten natychmiast ściągnął uwagę żołnierzy z oddziału kapitana Charlesa Maina. Młodzi ochotnicy z Karoliny Południowej na starannie dobranych gniadoszach jechali jeden za drugim dróżką wijącą się przez zagajniki i farmy hrabstwa Prince William. Na tereny między Richmond i Ashland, leżące daleko na północ od ich obozu, sprowadziły ich trzydniowe ćwiczenia. Charles uważał, że długa jazda zahartuje żołnierzy. Byli urodzonymi jeźdźcami i myśliwymi; pułkownik Hampton nie wpadłby z pewnością na pomysł, by przyjąć innych ludzi do oddziałów kawalerii, które tworzył w Waszyngtonie. Lecz ich reakcje na lekturę *Tactics Poinsetta* – jak nieoficjalnie nazywano podręcznik taktyki, który od 1841 roku był biblią kawalerzystów – rozciągały się od powściągliwej obojętności do nieskrywanej wzdgardy.

– Boże, uchroni mnie przed dżentelmenami w mundurach wojskowych – mruknął Charles, kiedy paru jego ludzi zwróciło wierzchowce w stronę płotu oddzielającego ścieżkę od pastwiska.

Czarne konie pędziły teraz wzdłuż ogrodzenia. Spoceni sierżanci w ozdobnych szarych kurtkach ze złotymi guzikami gnali tuż za nimi. Przemknęły z łoskotem wzdłuż długiego szeregu kawalerzystów.

– Coście za jedni, chłopcy?! – zawołał starszy porucznik z oddziału Charlesa, przysadzisty wesołek z rudą czupryną.

Czerwcowy wiatr przyniósł zagłuszoną przez tętent kopyt odpowiedź:

- Kare Konie! Hrabstwo Fauquier!
- Pokażmy im, jak się jeździ! – zawołał do dowódcy porucznik Ambrose Pell.
- Dwójkami... kłusem... marsz! – wydał rozkaz Charles, by nie dopuścić do chaosu.

Manewr wykonano tak niezdarnie, jak tylko można sobie wyobrazić. Żołnierze, słysząc słowa Charlesa, zaczęli krzyczeć i wymachiwać czapkami. Nie zwalniając kroku, zdołali uformować dwuszeręg. Było już jednak za późno na dogonienie sierżantów, którzy wiodąc czarne konie, skręcili w lewo, przecięli na ukos pastwisko i po chwili zniknęli w zagajniku.

Charles poczuł ukłucie zazdrości. Jeśli ci podoficerowie należeli do oddziału Karych Koni, o którym słyszał tak wiele, musiał przyznać, że zadbali o wspaniałe wierzchowce. Sam nie był zadowolony ze swojej klaczy kupionej w Waszyngtonie. Pochodziła z dobrego stada, była jednak dosyć narowista i płochliwa. Nie zasługiwała – przynajmniej na razie – na swoje imię, Ognista.

Droga skręcała na północny wschód i oddalała się od ogrodzonego pastwiska. Charles zwolnił do truchtu, ignorując kolejne pytanie Ambrose’a, którego na swoje nieszczęście lubił. Zastanawiał się, jak, na Boga, ma utworzyć jednostkę bojową z tej zbieraniny dżentelmenów zwracających się do niego po imieniu, odnoszących się lekceważąco do absolwentów West Point i starających się poczęstować pięścią każdego przełożonego, który wydawał niewygodny dla nich rozkaz. Od czasu przybycia do obozu w hrabstwie Hanover Charles musiał dwukrotnie użyć siły, by zapewnić sobie posłuch i zaprowadzić dyscyplinę.

W legionie Hamptona jego oddział był przypadkową gromadą mężczyzn z różnych stron Karoliny Południowej. Niemal wszystkie pozostałe jednostki podległe Hamptonowi, zarówno piesze, jak i konne, składały się z ludzi pochodzących z jednego hrabstwa lub nawet z jednego miasteczka. Ten, kto zebrał taką kompanię, zazwyczaj wygrywał wybory, w trakcie których ochotnicy decydowali, kto będzie ich dowódcą. Charles nie miał w oddziale znajomych, nie mówiąc już o przyjaciółach; byli to ludzie z gór, z podgórze, kilku z jego rodzinnych nizin. Tak różnorodna gromada wymagała dowódcy, który nie tylko pochodził z dobrej rodziny, lecz także miał wystarczające doświadczenie wojskowe. Ambrose Pell, kontrkandydat Charlesa w wyborach, mógł pochwalić się tym pierwszym, ale nie drugim. Jeszcze przed głosowaniem Wade Hampton dał jasno do zrozumienia, kogo popiera, ale i tak Charles wygrał zaledwie dwoma głosami. Zaczynał już żałować, że nie głosował za kandydaturą Ambrose’a.

Teraz jednak, czując na twarzy powiew łagodnego letniego wiatru, a pod sobą płynne ruchy Ognistej, doszedł do przekonania, że może niepotrzebnie martwi się o dyscyplinę. Na razie wojna przypominała żart. Jeden z jankeskich generałów, Butler, poniósł dotkliwą porażkę w zaciętej bitwie o Bethel Church. Stolica Jankesów, w

której rezydował polityk z Zachodu, zwany przez wielu południowców Gorylem, była teraz – jak głosiły wieści – niczym więcej jak tylko sparaliżowaną przez strach wioską. Głównym problemem nękającym cztery oddziały kawalerii pod dowództwem Hamptona pozostawała epidemia dolegliwości żołądkowych – efekt zbyt wielu uczt w Richmond.

Wszyscy ochotnicy zgłosili się na dwanaście miesięcy, ale żaden nie wierzył, że cały ten rozgardiasz i spór prowadzony przez dwa rządy potrwać dłużej niż dziewięćdziesiąt dni. Wdychając woń rozgrzanej od słońca trawy i zapach koni, Charles – opalony wysoki dwudziestopięcioletni mężczyzna, przystojny, choć szorstki – nie potrafił uwierzyć, że toczy się wojna. Z jeszcze większym trudem przypominał sobie dziwny ucisk w żołądku, który czuł zawsze, gdy słyszał świst kuli, mimo że zanim na początku tego roku podziękował w Teksasie za służbę w Drugim Pułku Kawalerii Stanów Zjednoczonych i powrócił do domu, by poprzeć Konfederację, koło jego uszu przeleciało wiele pocisków.

Och, młody Lochinvar przyjechał z Zachodu...

Charles uśmiechnął się; Ambrose zaczął monotonnym głosem śpiewać słowa wiersza Waltera Scotta. Pozostali zawtórowali mu niemal natychmiast:

Żaden koń nie dorównał jego rumakowi.

Charles mimo wszystko czuł do tych pełnych werwy młodzieńców sympatię, zapomniał więc o zastrzeżeniach co do ich dyscypliny. Właściwie powinien był ukrócić ten śpiew, nie zrobił tego jednak; upajał się w milczeniu chwilą samotności. Był tylko parę lat starszy od podkomendnych, czuł się jednak jak ich ojciec.

*Tak wierny w miłości, na wojnie bez trwogi,
Żaden rycerz nie dorównał młodemu Lochinvarowi.*

Jakże ci chłopcy z Południa kochali tego Scotta! Kobiety zresztą też były w nim zakochane. Wszyscy uwielbiali rycerskie wizje Scotta, zaczytywali się jego powieściami i wierszami. Może właśnie ten podziw dla starego sir Waltera stanowił jedno z rozwiązań zagadki tej dziwacznej wojny, która tak naprawdę jeszcze się nie zaczęła. Kuzyn Charlesa, Cooper, zagorzały heretyk w rodzinie Mainów, mawiał, że Południe za często spogląda w przeszłość, zamiast koncentrować się na teraźniejszości lub na gospodarce Północy, gdzie fabryki, takie jak Stalownia Hazarda, zdominowały całkowicie tamtejszy krajobraz i politykę. Zaciekle krytykował pełne czci spojrzenia na erę strojnych rycerzy Scotta.

Z przodu rozległy się nagle dwa wystrzały. Z tyłu dobiegł krzyk. Charles obrócił się w siodle, zerknął przez ramię i zobaczył, że żołnierz, który krzyknął, siedzi nadal na koniu, zaskoczony, że nie trafiła go kula. Charles spojrzał przed siebie, przeklinając w duchu własną nieuwagę. Utkwił wzrok w zagajniku drzew orzechowych na prawo od drogi. Sine smugi dymu między nimi zdradzały miejsce, skąd oddano strzały z muszkietów.

Ambrose i kilku innych żołnierzy skwitowali ten incydent uśmiechami.

– Wykończmy tę bandę! – zawołał któryś kawalerzysta.

Ty durniu, pomyślał Charles, czując skurcz w żołądku. Dostrzegł konie w zagajniku i usłyszał palbę z muszkietów zagłuszoną przez jego gromki głos, gdy wykrzykiwał rozkaz do ataku.

Rozdział 2

Atak na zagajnik był dość chaotyczny, ale skuteczny. Niebieskie błyski okazały się nogawkami kilku patrolujących teren jeźdźców Unii. Jankesi umknęli czym prędzej, kiedy kawalerzyści Charlesa dopadli lasku z bronią gotową do strzału.

Pierwszy dotarł tam Charles, celując ze śrutówki z podwójną lufą. Akademia Wojskowa i Teksas nauczyły go, że oficerowie odnoszący sukcesy wiedzą do boju, a nie tylko zagrzewają do walki. Najlepszym tego przykładem był bogaty, energiczny plantator, twórca tego legionu. Hampton należał do tych nielicznych, którzy nie musieli uczyć się w West Point, by wiedzieć, jak prowadzić atak.

Żołnierze Charlesa rozproszyli się wśród drzew. Jankesi odpowiadali na strzały palbami z muszkietów; zagajnik spowijały kłęby gęstniejącego dymu. Każdy działał teraz na własną rękę. Kawalerzyści szydzili z wycofującego się, niewidocznego już niemal przeciwnika.

– Gdzie się tak śpieszycie, jankeskie chłopaczki?!

– Wracajcie, walczcie z nami!

– Ludzie, nie marnujmy na nich czasu! – zawołał Ambrose Pell. – Szkoda, że nie ma tu naszych czarnuchów. Wykurzyliby ich stąd raz-dwa!

Ostatnie słowa zbiegły się z pojedynczym wystrzałem z muszkietu. Charles instynktownie przywarł całym ciałem do grzbietu Ognistej. Klacz była zdenerwowana, niespokojna, chociaż – jak większość koni kawalerzystów legionu – podczas ćwiczeń w Waszyngtonie oswajano ją z hukiem wystrzałów ze strzelb i armat.

Kula świsnęła w powietrzu. Sierżant Peterkin Reynolds krzyknął, a Charles wypalił w gąszcz z obu luf. Natychmiast rozległ się jęk bólu.

Gwałtownie ściągnął wodze i odwrócił się.

– Reynolds...? – zapytał Charles.

Sierżant, blady, lecz uśmiechnięty, uniósł rękę, prezentując rozdarcie przy mankiecie i małą plamkę krwi.

Jego przyjaciele nie potraktowali tej rany tak lekko.

– Cholerni krawcy i szewcy na koniach! – zawołał któryś, mijając Charlesa, który daremnie próbował go zawrócić.

W gęstwinie dostrzegł marudera z patrolu Unii, pulchnego jasnowłosego żołnierza, który stracił kontrolę nad koniem – ciężkim wierchowcem, w jakie wyposażono formowaną w pośpiechu kawalerię Północy. Mężczyzna obydwoma nogami kopnął konia i zaklął po niemiecku.

Był tak złym jeźdźcem, że kawalerzysta, który przemknął obok Charlesa, dogonił go bez najmniejszego trudu i ściągnął na ziemię. Niemiec spadł z siodła i jęczał, dopóki nie uwolnił lewej nogi ze strzemienia.

Młody żołnierz z Karoliny Południowej dobył długiej na metr, ważącej trzy kilogramy szabli o obustronnej kłindze – większej, niż przewidywały przepisy – wykutej w Waszyngtonie według wskazówek pułkownika Hamptona, który uzbroił swoje oddziały, nie szczędząc własnych pieniędzy.

Ambrose podjechał do Charlesa i wyciągnął rękę.

– Spójrz na to, Charlie. Widzisz? Trzęsie się ze strachu jak szop.

W jego słowach nie było ani krzty przesady. Jankes klęczał, dygocząc. Kawalerzysta stanął obok niego, ujął oburącz szablę i uniósł nad głową pojmanego. Charles krzyknął najgłośniejszym, jak potrafił:

– Nie, Manigault! Nie!

Szeregowiec Manigault odwrócił się i spojrzał na niego. Charles podał strzelbę porucznikowi, jednym susem zeskoczył na ziemię, podbiegł do kawalerzysty i chwycił uniesioną rękę z szablą.

– Powiedziałem: nie!

Manigault arogancko wzruszył ramionami i zaczął mu się wyrывać.

– Puszczaj, cholerny pajacu, przekłety sukinsynu z West Point, ty...

Charles puścił go i uderzył w twarz prawą pięścią. Młodzieniec, krwawiąc z nosa, zatoczył się w tył, wprost na pień drzewa. Charles wyrwał mu z ręki szablę i odwrócił się. Zmierzył wzrokiem patrzących na niego posępnie kawalerzystów. Wytrzymał ich spojrzenia.

– Jesteśmy żołnierzami, nie rzeźnikami. Radziłbym wam o tym nie zapominać. Następny, który ośmieli się zignorować mój rozkaz, obsypać mnie wyzwiskami czy zwrócić się do mnie po imieniu, stanie przed sądem wojskowym. A jeszcze przedtem policzę się z nim osobiście. – Przez chwilę wodził wzrokiem po nieprzyjaznych twarzach podwładnych, po czym rzucił szablę na ziemię i odebrał swoją strzelbę. – Ustawić ich w kolumnę, poruczniku Pell.

Ambrose nie patrzył na niego, ale wykonał rozkaz. Charles usłyszał gniewny pomruk. Miły nastrój poranka prysnął bezpowrotnie; Charles był głupi, że dał mu się zwieść.

Zniechęcony, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób jego ludzie mają dać sobie radę w prawdziwej bitwie, skoro potyczkę traktują mniej poważnie niż polowanie na lisa. Jak mogą zwyciężyć, skoro nie chcą nauczyć się walczyć całym oddziałem, a przede wszystkim nauczyć się posłuszeństwa?

Jego dawny przyjaciel z West Point, Billy Hazard, służący w Korpusie Inżynieryjnym, potrafił traktować wojnę serio. Podobnie jak kuzyn Charlesa, Orry Main, i jego najbliższy przyjaciel, starszy brat Billy'ego, George. Takie podejście cechowało zresztą wszystkich absolwentów Akademii Wojskowej. Może właśnie na tym polegała różnica między zawodowymi oficerami regularnej armii a narwanymi amatorami. Nawet Wade Hampton wypowiadał się czasem ironicznie o kadetach z West Point...

– To nie było wcale tak straszne, prawda? – usłyszał nagle głos jednego z jeźdźców, kiedy Ambrose wciąż formował dwuszereg.

Charles powstrzymał się od komentarza i podjechał do umazanego błotem jeńca, wijącego się nadal na drodze.

– Będziesz musiał odbyć z nami długą wędrówkę, ale nie stanie ci się nic złego, rozumiesz?

– *Ja, versteh...* rozumieć. – Niemiec z dużym trudem wymówił to słowo w obcym dla siebie języku.

Kawalerzyści uznawali wszystkich Jankesów za motłoch, zbieranie prostaków – za przeciwników niedorównujących im poziomem. Spoglądając na tego żałosnego brzuchatego jeńca, Charles zaczął przychyłać się do ich zdania. Kłopot polegał jednak na tym, że na Północy było znacznie więcej takich prostaków niż na Południu. A chłopcy z Karoliny nie potrafili tego zrozumieć.

Mysłąc o Północy, przypomniał sobie przyjaciela, Billy'ego. Gdzie on się teraz podziewa? Czy zobaczy go jeszcze kiedyś? Obie rodziny, Hazardowie i Mainowie, były sobie bliskie przez wiele lat przed wojną. Czy ta przyjaźń przetrwa, czy nie rozpadnie się, mimo że kuzynka Charlesa, Brett, poślubiła Billy'ego? Zbyt wiele pytań. Zbyt wiele problemów.

Podążająca dwójkami kolumna skierowała się na południe, ale nawet w słońcu, mimo letniej pory, było chłodno. Od miejsca potyczki dzieliło ich kilkaset metrów, gdy Charles usłyszał niepokojący dźwięk: Ognista zakasłała. Odwróciła ku niemu łeb i ujrzał jej zbyt wilgotne nozdrza.

Początki ropnego wycieku? Tak. Kaszel nie ustawał. Boże, oby tylko nie zołzy, pomyślał. Przecież to choroba zimowa.

Klacz była młoda, podatna na choroby. Uświadomił sobie, że czeka go kolejny poważny problem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).